



Mirosław Derecki

CO NAM W DUSZY GRAŁO...

Od razu poznałem w słuchawce głos Ireny. Mówiła w ten charakterystyczny dla siebie sposób, tak jak byśmy raz widzieli się wczoraj na Krakowskim Przedmieściu a nie - dokładnie przed rokiem - w Londynie: „Cześć, co u ciebie?”

W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że dzwoni z Londynu, jak zwykle przed Świętami, ale zaraz uświadomiłem sobie, że przecież nie było sygnału z centrali międzynarodowej.

- To my już w Kraju - oświadczyła Irena.

- W Polsce - poprawiłem ją z przyzwyczajenia. - U kogo tym razem spędzacie Boże Narodzenie?

- Jak to, u kogo? U siebie. Wróciliśmy do Polski. Na zawsze.

Opowiadała, gdzie zamieszkają i co mają robić przez resztę życia, co porabiają londyńscy znajomi, ci, którzy jeszcze zostają w Anglii, i ci, którzy też już wkrótce wrócą do Polski, a ja przypomniałem sobie naszą ostatnią, wspólnie spędzoną londyńską wigilię...

Grudzień miał się ku końcowi, ale na Wyspie wciąż jeszcze było ciepło i słonecznie niby w Polsce wczesną jesienią i tylko z komunikatów radiowych dowiadywaliśmy się, że za Kanalem, „on the Continent” - jak powiadają Anglicy - jest mróz i śnieg, czyli taka właśnie pogoda, jaka powinna być kiedy nadchodzi pora ustawienia w mieszkaniu zielonego świerka przystrojonego bombkami, łańcuchami i kolorowymi świeczkami. W Londynie od dawna panował nastrój przedświąteczny: ludzie tonęli w górach kartek z życzeniami, jakie obowiązkowo należy wysłać wszystkim bez wyjątku znajomym, ponieważ inaczej popełni się jeden z największych w życiu nietaktów. Sklepy papieżnicze pękały od kolorowych kartoników z napisem „Merry Christmas and happy New Year”, z dodatkowymi napisami: „Od wnuczki dla ukochanej Babci”, „Od Męża dla ukochanej Żony”, „Od Dzieci dla Tatusia i Mamusi”, „Dla Tej, która będzie moją Ukochaną Żoną”. Chyba zaangażowano specjalne mózgi elektronowe dla rozpracowania wszystkich możliwych wariantów kto, dla kogo i od

kogo, co pozwalało wysyłającemu życzenia na pracę systemem taśmowym, oszczędzało czasu i wysiłku myślowego. Wystarczyło tylko złożyć w odpowiednim miejscu podpis i zaadresować kopertę.

Za kartkami ruszały w pocztową podróż tradycyjne, świąteczne puddingi, ohydne twory angielskiej kuchni, pakowane w wytwórniach tego „specjału” w hermetycznie zamknięte blaszane pudełka. Takie pudełka mają swoje dobre strony: kiedy po kilku miesiącach stania na półce w najdalszym kącie spiżarni, wyrzuci się wreszcie ich zawartość na śmietnik, służą jako doskonałe schowki na igły i nici. Wreszcie na wystawach sklepów mięsnych pojawiły się ogromne indyki tuczone za życia mączką rybną, co przydawało mięsu charakterystycznego smaku i zapachu, jakiego na szczęście nie znali dawni mieszkańcy „starej, wesołej Anglii”, i kiedy na koniec na frontonach wielkich magazynów handlowych i nad jezdnią eleganckiej Regent Street pojawiły się roziskrzone żarówkami dekoracje, wiedzieliśmy, że istotnie Święta za pasem.

W przyływach tęsknoty za krajem chodziliśmy z Tadzkiem oglądać choinki. Tych prawdziwych, pachnących lasem, było niewiele, sprowadzano je aż ze Szwajcarii i kosztowały bająnskie sumy. Można je było zobaczyć przed „Harrodsem”, najbogatszym i najelegantszym magazynem Zjednoczonego Królestwa; poza tym na wystawach królował wstrętny, plastikowy, iglasty ersatz. Któregoś dnia Tadzio przyniósł jednak do naszego wspólnego mieszkania maleńką choinkę posadzoną w doniczce (żeby wystarczyła także na przyszły rok) i właśnie wtedy uświadomiłem sobie w pełni przepaść, jaka dzieliła mnie od tego „burżuja”, inżyniera, stypendysty UNESCO, konfrontującego tutaj, w Londynie, doświadczenia polskiego przemysłu maszyn liczących z doświadczeniami przemysłu angielskiego.

Z Tadzkiem żyło mi się jak z bratem i większość wolnego czasu spędzałem w jego przytulnym, ogrzewanym (!) pokoju w końcu korytarza, za kuchnią, a nie w moim lodowatym „apartamencie”, przerobionym przez zapobiegliwych gospodarzy z dawnej spiżarni, gdzie ściana trzęsła się od huku pociągów przelatujących po pobliskiej linii metra. W jeden z tych ciepłych, słonecznych dni, podczas przechadzki w Hyde Parku, gdzie postanowiliśmy znaleźć prawdziwą, „żywą” choinkę, Tadzio, ogarnięty nastrojem wspominkowym, wygłosił dwugodzinną tyradę o tym, jak w młodości złamał nogę i co z tego wynikło. W innych warunkach już po kwadransie zamordowałbym go z zimną krwią. Ale teraz, gdy wpisywał swoją opowieść w malowniczy, zasypany śniegiem pejzaż Zakopanego, gdy wspominał Kalatówki i Kondratową, firm na Goryczkowej i na Gubałówce, gotów byłem wybaczyć mu wszystko.

Wigilia miała być wspólna. Postanowiono urządzić ją w domu Andrzejów, przy Flanders Road, gdzie pędziliśmy z Tadzkiem sublokatorski żywot, bo mieszkanie było najbardziej przestronne i reprezentacyjne. Andrzej z Lottą dawali więc pomieszczenie i tak zwane ciepło rodzinne, Jurek z Ireną mieli przywieźć z pobliskiego Ealingu polską, tradycyjną wałówkę, my z Tadzkiem braliśmy na siebie ogólną pomoc oraz punkt programu wigilijnego pod tytułem: „Co słyszeć w Kraju?”, szwagier Lotty, John, Anglik rodowity, miał za zadanie upić się polską wódką i zachwycić się naszymi tradycjami.

Przez trzy dni biegałem po sklepach z napisem „Polish Delicatessen”, szukając takich, gdzie indziej nieosiągalnych wiktuałów, jak solone śledzie, suszone grzyby, kielbasa zwyczajna, chrzan i struclę z makiem firmy „Blikle” wysyłane z Warszawy do polskich londyńskich sklepików samolotami. Tadzio przyniósł hiobową wieść, że z burakami są ostatnio na rynku przejściowe trudności, tak że barszcz wigilijny i ćwikła stoją pod znakiem zapytania. W rozbłysku inteligencji przypomniałem sobie o jednym straganiarzu na North End Road, którego tatuś pochodził z Odessy, a mamusia z Chelma, i dzięki temu tradycji mogło stać się zadość.

Przedpołudnie wigilijne poświęciłem na przygotowanie wraz z Andrzejem „angielskiej choinki”. Były waleczny ogniomistrz z Karpackiej Brygady, lew - albo, jak mówią inni - szczur Tobruku, jeden z największych uparciuchów w armii, tym razem dał się przydeptać pantoflem swojej angielskiej małżonki.

„Ja też chcę, żeby stało się zadość mojej narodowej tradycji. Mojej i Johna” - upierała się Lotta. Andrzej machnął w końcu ręką, poszedł do ogródka znajomych i wrócił z naręczem gałązek „Christmas tree” - „drzewka Bożego Narodzenia”, ostrokrzewu. Układaliśmy ciemnozielone, mięsiste, kolczaste gałązki na wielkim drewnianym talerzu, przystrajając je włosami anielskimi przysłanymi z Polski, maleńkimi czerwonymi świeczkami i... wtykając gdzie się dało - żeby jednak polska tradycja zatriumfowała - gałązki świerkowe. Wyszło z tego coś na kształt zielonego, wielkanocnego baby-sękacza, o który pokaleczyłem sobie palec.

Zanim zaświeciła pierwsza gwiazda, wyskoczyliśmy jeszcze z Tadzkiem na Trafalgar Square. Pod pomnikiem admirała Nelsona ciemniały sylwetki setek londyńczyków. Było przedświąteczne popołudnie wolne od pracy - i od zajęć domowych, bo Anglicy wigilii nie obchodzą - i ludzie przyszli tutaj popatrzeć na ustawioną w jednym z krańców placu szopkę oraz posłuchać „Christmas songs and carols” - starych, angielskich kołęd. Tuż koło kolumny Nelsona na wielkim, drewnianym podium produkowały się dziewczęce chóry dyrygowane przez zakonnice. Słodkie, o wolnym rytmie melodie, śpiewane przez te kilkunastoletnie dziewczęta ubrane w schludne, szare, długie sukienki i śmieszne, słomkowe kapelusiki,

melodie tak różne od skocznych, polskich, przywiodły nam na pamięć nie tyle zaśniewany kraj rozciągający się między Tatrami a Bałtykiem, ile obraz odchodzącej już powoli w zapomnienie ojczyzny Karola Dickensa i królowej Wiktorii.

Stół był już zastawiony, pod obrusem odrobina siana z zakopiańskiej hali przywieziona przez kogoś z ostatniego urlopu, na talerzyku - opłatek dostarczony z polskiej, londyńskiej parafii. Ale wiedzieliśmy dobrze, że każde z nas ściska w garści również ułamek opłatka przysłanego w liście przez osoby najbliższe, z którymi różne sytuacje życiowe na krócej lub na dłużej nas rozdzieliły, i że za chwilę, kiedy stanimy wokół stołu, zapadnie niezaplanowana chwila milczenia. Wszyscy będą się wtedy dzielili na odległość owym kawałkiem przaśnego chleba z tymi, którzy tam, w Polsce, również zamilkli na chwilę przy stole wigilijnym.

Potem całowaliśmy się - jak to w zwyczaju - „na trzy” i życzyli sobie nawzajem wszystkiego najlepszego, zdrowia, szczęścia, wszelkiej pomyślności, pociechy z dzieci oraz tego, żebyśmy w zdrowiu doczekali do następnych Świąt.

O jednym tylko nie mówiliśmy głośno. Ze względu na Andrzeja. Żebyśmy następne Święta obchodzili już u siebie, na polskiej ziemi. Andrzej miał syna w Polsce, ale w Londynie - żonę Angielkę. Poza tym przeżył tutaj trzydzieści ciężkich lat, w czasie których dorobił się tego tylko mieszkania, a w ostatnim czasie coraz częściej nawiedzały go bóle w klatce piersiowej i drętwiała lewa ręka.

Patrzyłem na niego z żalem; na tego ongiś bon-vivanta, potem dzielnego żołnierza, potem robotnika budowlanego, który w powojenne sobotnie popołudnia wkładał smoking i ruszał do klubu „Orła Białego”, aby tam do białego rana prowadzić zadzierzystego, z roku na rok coraz bardziej upiornego - mazura, który wreszcie, pod koniec życia, zadawał mi podczas długich, herbacianych posiedzeń w kuchni, pytanie, ale tylko wyrażone wzrokiem pytanie: „dlaczego wtedy, gdy byłem jeszcze w pełni sił, nie wróciłem?”

Siadaliśmy więc szerokim kręgiem wokół stołu: Jurek, były komandos, i jego żona Irena, która otarła się o antypody, po Powstaniu Warszawskim aż do Australii zawędrowawszy (teraz oboje zajęci już myślą o likwidowaniu swoich londyńskich interesów przed powrotem do kraju). Andrzej przetrawiający w sercu gorycz przegranej, John - dusza chłopak, nic nie rozumiejący z tego wszystkiego, jego siostra Lotta i my dwaj, Tadzio i ja, wyrwani na chwilę z nurtu swojego prawdziwego życia...

Potem potoczyła się kolacja wigilijna, a po jej zakończeniu gdy już wszyscy rozeszli się, siedzieliśmy jeszcze długo z Tadzkiem przy kuchennym stole coraz bardziej leniwie roztrzaskując sprawy obchodzące tylko „starych Polaków” ze Starego Kraju i coraz częściej

przysypiając nad świątecznym jadłem, w miarę jak opróżniała się butelka przywiezionego z kraju „Jarzębiaku”.

Ocknęliśmy się tuż przed północą, porą pasterki. Wyszliśmy na spowite chłodną mgłą ulice Londynu, wstąpiliśmy na chwilę do zimnego, straszącego ponurym zawołaniem psalmów anglikańskiego kościoła i... znowu kroczyliśmy ramię w ramię po zmoczonym przelotnym deszczem chodniku. W pewnym momencie Tadzio, człek korpulentny, znamienitej postury, ceniony fachowiec i ojciec dzieciom, przystanął i powiedział roztkliwiony: „Popatrz - jarzębina. Jak w Polsce. Jak na Kielecczyźnie. Ech, psia jego mać...!” I popłynęła z ust Tadzia długa opowieść o kraju, o myśliwskich biwakach w Górach Świętokrzyskich, o zapachu dymu z ogniska, który się, w gryza w oczy że aż łzy płyną, jak w tej oto chwili...

Słuchałem tego wszystkiego, mgłę z policzka mimochodem ocierając.

Pierwodruk: „Kamena”, 1973, nr 25, s. 3.